

Alina i Czesław Centkiewiczowie: Zaczarowana Zagroda.

Warszawa: Nasza Księgarnia, 1993. ISBN 83-10-10864-8.

- Szykujecie się znów do podróży? Odpywacie od nas? Dokąd wędrujecie? Do Australii, do Ameryki Południowej? A może aż na afrykańskie wody?

Z wianuszka otaczających profesora ptaków, które stały prościutko, jeden wysunął się naprzód. Podniósł łepkę i słuchał uważnie, co mówi to dziwne stworzenie, trzy razy od niego większe, które tak jak on, pingwinek Adeli, chodzi na dwu nogach. Popatrzył jednym oczkiem, popatrzył drugim i coś sobie zagęgał.

- Ork, ork, ork - przedrzeźniał go profesor - żebyś to ja zrozumiał, co ty mi tłumaczysz...

Pingwinek zatrzepotał krótkimi skrzydełkami, jakby się ucieszył, że człowiek zaczyna wreszcie mówić po pingwiniemu. Zamyślony profesor przyglądał się bacznie ptakowi. Łatwo go było rozpoznać wśród innych. Na śnieżnobiałym gorsie czerniła się podłużna łątka.

- Patrzcie go, elegancik! Krawat włożyłeś na spotkanie ze mną, co?

Naraz profesor stuknął palcem w czoło. Mało mu z nosa nie spadły wielkie przeciwsłoneczne okulary.

- Wiem! - krzyknął. I roztrącając zdumione pingwinki pobiegł szybko w stronę zasypanego śniegiem domku.

- Andrzej, Janek! Wiem już, co zrobimy! -wołał od progu. - Władek, słyszysz? Pozakładamy pingwinkom na łapki aluminiowe obrączki.

- Po co, profesorze? - spytał z głębi izby jakiś głos.

- Jak to po co? Na każdej obrączce wy ryjemy taki napis: „Stacja imienia profesora Dobrowolskiego na wschodnich brzegach Antarktydy”, potem

dzisiejszą datę i kolejny numer. Zawiadomimy przez radio wszystkich polarników, marynarzy i łowców wielorybów, pływających na morzach Antarktydy. Ktokolwiek z tych ludzi zobaczy pingwinki z obrączkami, zanotuje, gdzie je i kiedy widział, i da nam znać. A my tu będziemy na mapie zaznaczać, którądy nasze ptaki wędrują. Już gromadzą się na brzegu oceanu. Nie mamy czasu do stracenia. Lada moment odpłyną.

- Wspaniale!

- Zabierajmy się do roboty!

- Czekajcie, chłopcy. Nie tak prędko. Trzeba przedtem zbudować z brył lodu zagrodę i spędzić do niej ptaki. Ot, tak z pięćdziesiąt wystarczy chyba.

Młodym przyrodnikom nie trzeba było dwa razy powtarzać wezwania.

Przy płynęli przecież na ten skuty lodem kontynent po to, by badać życie tych dziwnych, nieznanych ptaków, o których tak mało ludzie jeszcze wiedzą. Nie zważając na wielki mróz - zapowiedź zbliżającej się zimy - z zapalem wzięli się do roboty. Zadźwiewały łopaty, zafurkotały elektryczne piły do cięcia lodu.

Szybko rósł mur z przezroczystych cegiełek. Teraz pingwinki do zagrody!

Andrzej i Janek jak burza wpadli w gromadkę czarno-białych ptaków rajcujących bez troski na krawędzi przybrzeżnego lodu. Władek skradał się do nich po cichu.

Pingwinki Adeli nie boją się ludzi, ale wcale nie miały ochoty maszerować tam, gdzie je przyrodnicy zaganiali. Jedne padały na lód, odpychały się łapkami i na brzuskach jak na saneczkach uciekały w głąb lądu. Bęc, bęc - i tyłeś go widział. Inne szukały schronienia w oceanie.

Skakały z rozpędu wprost do wody, a mknęły w niej zwinnie i szybko. Szybciej niż ryby, którymi się żywiły.

Fala przy brzegu zakotłowała się naraz, spieniła, wzburzyła. Z przeraźliwym krzykiem, jak za pociśnięciem sprężynki, pingwiny wypryskiwały z powrotem na

krawędź lodu. Wprost w ramiona ludzi. W czarnym oceanie zamigotał srebrzysty, wydłużony jak wielka torpeda kształt. Lampart morski! Wołaj już nas niż tego drapieżcę! Profesorze, ile pingwinków może pożreć ta zakąła spokojnego foczego rodu?

- Zaganiajcie, chłopcy, zaganiajcie! Nie czas na pytania!

Zasapał się profesor, zasapali się jego pomocnicy. Dawno już zrzucili futrzane kurty, czapy i rękawice.

Zbliżała się północ. Słońce nisko stało nad horyzontem, kiedy wreszcie w zagrodzie znalazło się trzydzieści pingwinków.

- Dość na dzisiaj! profesor ocierał pot z czoła.

- Ork, ork, ork - darł się najgłośniej ze wszystkich rozżłoszczony pingwinek, widząc, że ludzie lodową płytą zasuwają wejścia do zagrody.

- I tyś tu trafił, eleganciku! - ucieszył się profesor.

- Patrzcie, to jego krawacik nasunął mi myśl o znakowaniu ptaków. No, chłopcy, przegryziemy teraz coś i spać. Naganialiśmy się dziś dosyć. Obrączki ptakom założymy jutro. I nie tylko obrączki. Przygotujcie farby. Tym, co mieszkały na prawo od naszej chatki, namalujcie czerwony znak na grzbiecie, tym, co na lewo - zielony. Przekonamy się, czy pingwiny wracają do swych gniazd. Pamiętajcie, o szóstej pobudka!

Następnego ranka profesor pierwszy był przy zagrodzie. Podszedł bliżej i zdębiał. Fajka wypadła mu z ust. Przetarł oczy raz i drugi, jakby sobie sam nie dowierzał: zagroda była pusta. Z trzydziestu ptaków jeden tylko stał pośrodku wymachując przyjaźnie skrzydełkami. Elegancik.

- Ork, ork, ork - pokrzykiwał co sił w płucach. Profesor jak burza wpadł do izby.

- Cała robota na nic! Wstawajcie! Mówiłem wam, że mur jest za niski.

Poleniliście się, a teraz popatrzcie - wszystkie ptaki nam uciekły. Został tylko jeden.

Zgromieni przyrodnicy rzucili się znów do roboty. Podwyższyli lodowe ścianki, wygładzili jak lustro, żeby nie było żadnych występów, i resztę dnia uganiali się za ptakami. Ale pingwinki Adeli jakby się ze sobą zmówiły. Już z daleka na widok ludzi uciekały na wszystkie strony.

Trudno je było dogonić.

Dobrze po północy ledwie żywi ze zmęczenia polarnicy zamknęli w zagrodzie zaledwie dwadzieścia ptaków.

Tej nocy profesor nie zmrużył oka. Na nogach był już przed pobudką. Nie zapalił nawet ulubionej fajki, tak się spieszył. I nogi ugięły się pod nim, gdy dobiegł na miejsce.

W zagrodzie spacerowały sobie dwa pingwinki. Elegancik i jakiś drugi, mniejszy. A gdzie reszta? Profesor obchodził długo w kółko lodowe ściany, pukał, stukał, szukał podkopu. I niczego nie znalazł.

- Nie rozumiem! - powtarzał raz po raz zgnębiony.

- Czary czy co? - krzyknął z rozpaczą Andrzej, który nadbiegł pierwszy, niosąc plecak pełen aluminiowych blaszek.

- Profesorze, a może jednak one nocą fruwać? - zapytał nieśmiało Janek.

- Może to wszystko, czegośmy się o tych ptakach dotychczas uczyli, jest nieprawdą? - poparł go Władek.

- Głupiś, spójrz sam na te skrzydełka. Żaden pingwin nie lata!

No to jak?

- Ba, w tym cała rzecz! Nic nie rozumiem! - powtarzał profesor. - Wiecie co, zagonimy teraz znów kilka ptaków, ale nie zostawimy ich już na noc w tej zaczarowanej zagrodzie. Mam tego dość. Zaobraczkujemy je zaraz po obiedzie. Ledwie żywi ze zmęczenia, z markotnymi minami zasiedli do jedzenia. Żaden się nie odezwał. Janek rozbił sobie mocno kolano, bo rozciągnął się jak długi goniąc pingwinka. Ledwie kuśtykał. Pod Andrzejem zarwał się przybrzeżny lód i

chłopak skąpał się w lodowatej wodzie oceanu. A profesor zgubił ulubioną fajkę, z którą się nigdy nie rozstawał. Jednym słowem, same niepowodzenia. Ciszę przerwał wreszcie terkot. Nad chatą zawisł śmigłowiec. Drzwi otworzyły się z trzaskiem. W progu stanął pilot z sąsiedniej stacji polarnej, w której uczeni mierzyli temperaturę powietrza, szybkość, z jaką wieją wiatry, i przeprowadzali wiele innych obserwacji. Śmiał się, aż łzy ciekły mu po policzkach.

- Tresujecie pingwiny do cyrku czy co? - wykrztusił wreszcie. - Ależ mądre bestie dobraliście sobie. Mało się przez nie nie zabiłem, tak szarpnąłem sterem przelatując nad zagrodą. Nigdy bym nie uwierzył, gdybym nie zobaczył na własne oczy. Wyłażą jak po drabinie. Szkoda, że nie wziąłem aparatu fotogra... Nim się pilot obejrzał, izba była pusta. Jeden przez drugiego przyrodnicy popędzili do zagrody. Oczom ich ukazał się dziwny widok. W lodowej zagrodzie o szklistą gładką ścianę opierał się elegancik. Skrzydełka trzymał szeroko rozpostarte. Na jego plecach, ledwie utrzymując równowagę, stał drugi pingwinek. A po ich grzbietach, pomagając sobie to łapkami, to dziobkiem, wspinał się w górę trzeci. Na szczycie żywej piramidy przystanął, rozejrzał się na wszystkie strony -- skoczył i zjechał na brzuszku po zboczu lodowej ściany. W ślad za nim gramolił się pod górę następny. Inne cierpliwie czekały w kolejce.

- Oto macie wasze czary - śmiał się profesor. - Już teraz wiemy, jak nam pouciekały. Nie ma co mówić, mądre ptaki.

* * *

Szybko przeminęły siarczyste mrozy, długie ciemne noce i straszne zamiecie, z których słynie Antarktyda, olbrzymi ląd leżący wokół południowego bieguna Ziemi. Słońce z każdym dniem wyżej wznosiło się nad horyzontem. Lód huczał pękając, jakby waliły całe baterie artyleryjskich dział. W domku zasypanym śniegiem przyrodnicy coraz częściej wspominali mądre pingwinki, które na krach uciekły przed srogą zimą w cieplejsze strony. W kłębach fajkowego dymu

profesor sam czerwonymi punkcikami oznaczał na mapie długie szlaki ich wędrówek.

Z różnych punktów oceanów otaczających Antarktydę nadchodziły radiotelegamy.

- Na krach Oceanu Indyjskiego znaleźliśmy stadko pingwinków z waszymi obrączkami - donosili radzieccy łowcy wielorybów.

- W nasze sieci przypadkiem zaplątał się znakowany przez was ptak - depeszowali japońscy rybacy z wód Oceanu Spokojnego.

- Kiedy wynurzyliśmy się na powierzchnię Oceanu Atlantyckiego, na pokład naszej łodzi podwodnej wskoczył nagle jakiś pingwinek z obrączką - zawiadamiali amerykańscy marynarze.

- Pewnie wasz wychowanek. Nikogo się nie bał. Pokłonił się głęboko najpierw kapitanowi, potem wszystkim po kolei. O nikim nie zapomniał. Zajrzał do każdego kąta. Coś sobie wykrzykiwał po swojemu, jakby wydziwiał. Chcieliśmy zatrzymać go u nas, ale widocznie się znudził, bo którejś nocy znikł bez śladu.

- To z pewnością nasz elegancik. On tak potrafi. To ani chybi on -- powtarzał profesor.

- Chciałbym go jeszcze kiedyś zobaczyć!

Nie wiedział, że tak prędko spełni się jego życzenie.

- Pingwinki wracają! Profesorze, prędzej, prędzej! - usłyszał któregoś dnia naglący krzyk młodych przyrodników.

W dali aż się czerniło od maleńkich postaci. Stłoczone na krach, jak ludzie na promach, wyskakiwały na krawędź lodu krzycząc przeraźliwie. I jeden przez drugiego spieszyły do tonących jeszcze w śniegu przybrzeżnych skał. Te z czerwonymi plamkami na prawo, te z zielonymi na lewo. Żaden się nie pomylił.

Profesor przypatrywał się im pilnie. Nim dostrzegł srebrzysty błysk obrączek, usłyszał znajomy głosik:

- Ork, ork, ork. Wróciłeś, eleganciku? I ten także! I tamten!
- krzyczał uradowany, widząc na wielu różowych błoniastych łapkach
aluminiowe paseczki. - Kochane ptaki, już was nie będę nigdy zamykał
- obiecywał im solennie, a otaczające profesora ciasnym wianuszkiem
pingwinki, wsparte na kusych czarnych ogonkach jak na laskach, przechylały na
boki lepki, jakby słuchały uważnie, co mówi ten dziwny człowiek, który tak mało
o nich jeszcze wiedział. Od dawien dawna wracały przecież co wiosnę do tych
samyh skał Antarktydy, do tych samych gniazd uwitych z kamyków.
Gdyby nauczył się mówić po pingwiniemu, dawno by mu już o tym same
powiedziały.